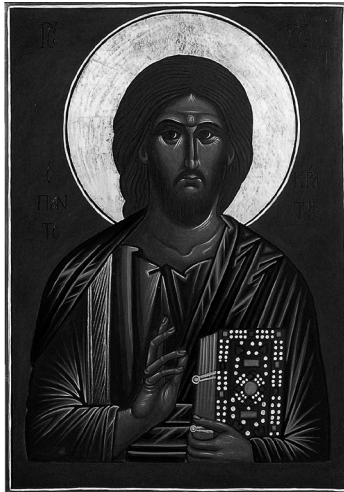


MA-RA-NA-THA



JAN M. BEREZA OSB

MA-RA-NA-THA

Charaktery
biblioteka

KIELCE 2012

Redaktor
Piotr Żak

Projekt graficzny okładki
Edyta Chachulska

Skład i łamanie
Jarosław Głowacki

Korekta
Anna Zdonek
Marta Majewska

Strona przedtytułowa: ikona *Chrystusa Pantokratora* przepisana przez **Michała Płoskiego**

Panu **Markowi Zawadce** dziękujemy za udostępnienie zdjęć na okładki

© Copyright by Charaktery Sp. z o.o.

Kielce 2012

ISBN 978-83-931962-7-2

Charaktery Sp. z o.o.
25-502 Kielce, ul. Paderewskiego 40
tel. 41 343 28 44
www.charaktery.eu

Wydanie pierwsze

Druk i oprawa
Drukarnia cyfrowa Inga
25-317 Kielce, ul. Niska 5/11

SPIS TREŚCI

1. Benedyktyński aśram	9
2. Chrześcijanie i buddyści w dialogu miłości	15
3. Maranatha, przyjdź Panie	19
4. Medytacja to nasza inspiracja	25
5. Między ciemnością i światłem	29
6. Bramy niebios są wszędzie	35
7. Kroczyć drogą, nie wiedząc, dokąd się idzie	41
8. Święci grzeszni idą do nieba	45

Uczestnikom Rekolekcji Medytacyjnych

meditatio 2012 Kielce

redakcja „Charakterów” dedykuje ten zbiór przemyśleń

śp. ojca JANA BEREZY.

Wszystkie teksty były wcześniej publikowane w magazynie psychologicznym „Charaktery”:

„Benedyktyński aśram” (nr 6/2006)

„Chrześcijananie i buddyści w dialogu miłości” (nr 12/2005)

„Maranatha, przyjdź Panie” (nr 12/2004)

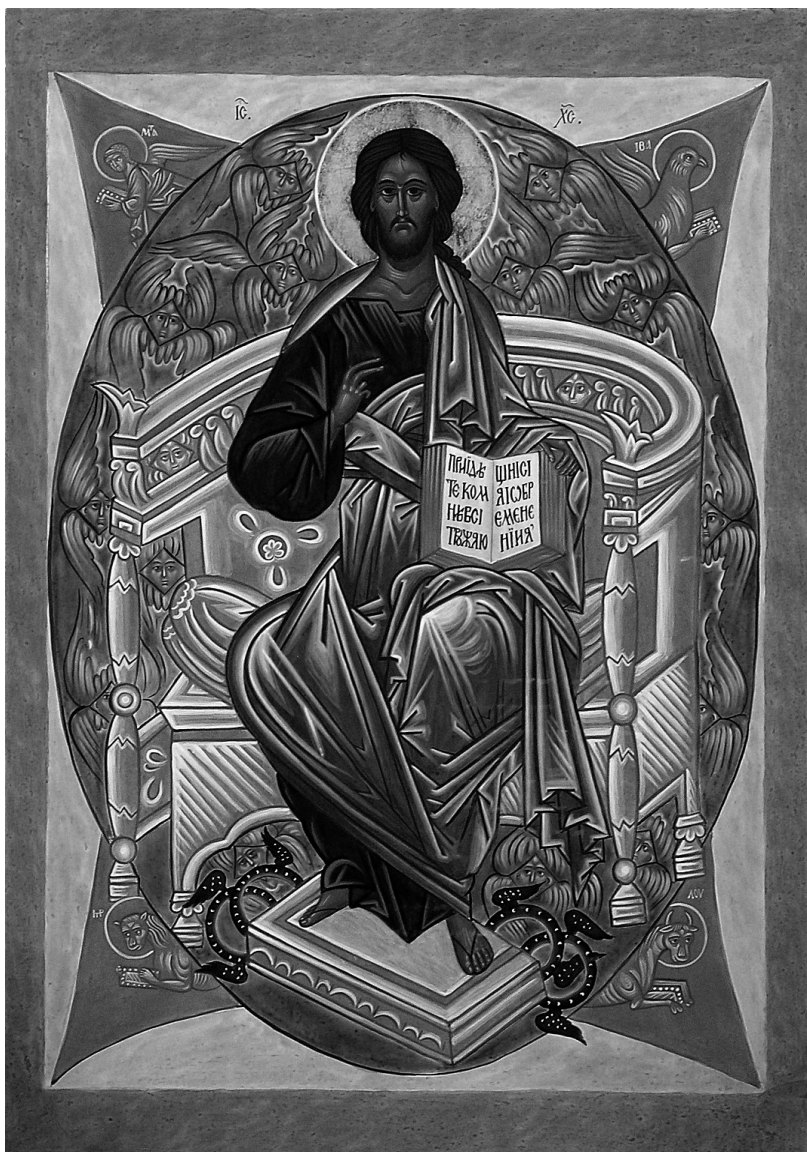
„Medytacja to nasza inspiracja” (nr 8/2006)

„Między ciemnością i światłem” (nr 12/2000)

„Bramy niebios są wszędzie” (nr 3/2003)

„Kroczyć drogą, nie wiedząc, dokąd się idzie” (nr 1/2002).

Także zamykający zbiór tekst „Święci grzeszni idą do nieba” autorstwa Bogdana Białka ukazał się na łamach „Charakterów” (nr 4/2011).



Chrystus w Majestacie

autor Michał Płoski

1

BENEDYKTYŃSKI AŚRAM

AŚRAM SHANTIVANAM znany jest jako promieniujący na cały świat ośrodek duchowości chrześcijańskiej i dialogu międzyreligijnego. O odwiedzeniu go marzyłem już w połowie lat 70. minionego wieku, od chwili, gdy przeczytałem książkę *Chrześcijański aśram*, napisaną przez benedyktyna Bede Griffithsa – to on przejął prowadzenie aśramu po śmierci jego założycieli, a byli nimi ojciec Henri Le Saux i ksiądz Jules Monchanin.

Aśram Shantivanam zobaczyłem wreszcie we wrześniu 2005 roku. Nie mogłem nawet przypuszczać, że w dniu mego przyjazdu w diecezji Tiruchirapalli odbędą się święcenia biskupie pierwszego Tamila. Jeszcze większym zaskoczeniem było to, że udzielał ich mój dawny znajomy z Polski – ksiądz Henryk Hoser, niegdyś misjonarz w Rwandzie, a dziś arcybiskup pracujący w Rzymie. W uroczystości brali udział także ojcowie z Shantivanam.

W 1947 roku, na kilka dni przed ogłoszeniem niepodległości Indii, biskup Tiruchirapalli w Tamil Nadu w południowych Indiach poprosił, by ksiądz Jules Monchanin przetłumaczył list od ojca Henriego Le Saux, benedyktyna z Francji, który zabiegał u indyjskiego biskupa o przyjęcie do diecezji. Ksiądz Monchanin widzi w tym znak od Boga, pisze więc do ojca Le Saux: „Zacniemy pracę razem. Ja wprowadzę ojca w życie hinduskie, a ojciec nauczy

mnie Reguły św. Benedykta”. Trzy lata później, 21 marca 1950 roku, biskup Tiruchirapalli poświęcił benedyktyński aśram Shantivanam (Gaj Pokoju), nazwany na cześć Trójcy Świętej „Saccidananda” (Sat-Czit-Ananda, czyli Byt-Świadomość-Szczęśliwość). We wstępie do Reguły Aśramu pisze: „To prawda, że na zewnątrz mnisi i aśram wyglądają jak hinduscy sannjasini lub buddyjscy mnisi, są oni jednak katolickimi kapłanami, jak inni zakonnicy i księża. Mają pełne poparcie i zatwierdzenie swej nowej drogi życia, a ze swej strony poddają się dyrektywom prawowitej władzy Kościoła”.

Henri Le Saux, który przez wiele lat żył według Reguły św. Benedykta, dobrze wiedział, że szczególnie nadaje się ona do zastosowania w indyjskim aśramie, gdyż św. Benedykt potrafił scalać w niej doświadczenia mnichów Wschodu i Zachodu. Św. Benedykt pod koniec życia miał wspaniałą wizję: zatopiony w Boskiej kontemplacji zobaczył cały świat w jednym promieniu słońca. Ojcu Le Saux dawało to nadzieję, że wielki patriarcha mnichów Zachodu otoczy swą opieką także synów Indii. Największa wartość, jaką Henri Le Saux odkrył w Regule św. Benedykta i która wydała mu się szczególnie bliska duchowi Indii, to pokój. Pokój jest dla niego tym samym co dla Greków *hesychia*, dla taoistów *wu-wei*, a dla wyznawców hinduizmu *śanti*. Pokój oznacza tu postawę duszy, która otwiera się i kieruje ku Boskiemu centrum. Bliski jest ciszy i głębi duchowego milczenia, które są podstawową cechą indyjskiej duchowości. Wyraża to szczególnie powszechnie odmawiana modlitwa: *Om, Śanti, Śanti, Śanti, Śanti. Om*. W czasie mojego pobytu w aśramie powtarzaliśmy ją kilka razy dziennie.

Ojciec Le Saux, zgodnie z całą mistyczną tradycją Wschodu i Zachodu, był przekonany, że doświadczenia obecności Boga nie da się opisać. Wyraża to upaniszadowe: *neti, neti* (nie-to, ani to), a także *nada*, którym posługiwał się św. Jan od Krzyża (powszechnie tłumaczy się je na język polski jako „nic”, wydaje się jednak, że

„nie-to” jest bardziej odpowiednie). Przekaz duchowego doświadczenia możliwy jest jedynie w milczeniu, z serca do serca. Wiedza pojęciowa i wyobrażenia okazują się tu mało przydatne, a niekiedy nawet szkodliwe. Apostołowie – podkreśla Le Saux – poznali Jezusa, gdy zniknął im z oczu, wtedy też mógł przyjść do nich Duch Święty zapowiadziany przez Chrystusa.

Le Saux ubolewał, że od zakonów w Indiach oczekuje się z jednej strony zbyt intelektualnego podejścia do wiary, z drugiej zaś rozwiązywania problemów społecznych. Był przekonany, że Indiom potrzeba przede wszystkim zakonów kontemplacyjnych. Świadczy o tym cała tradycja hinduskich sannjasinów, tradycja ciągle żywa. Sannjasini wolni są od jakichkolwiek obowiązków wobec społeczeństwa, nawet sprawowania zewnętrznego kultu religijnego. Jedynym ich zadaniem jest świadczyć swym istnieniem o obecności Boga i przekazywać duchowe doświadczenia. Ojcu Le Saux nie chodziło jednak o przeniesienie na grunt indyjski zachodniego modelu kontemplacji, lecz o „wydobycie” jej z indyjskiej gleby. Zdawał sobie sprawę, że towarzyszyć temu mogą ciemność i niezrozumienie, ale ostatecznie wrota otworzą się same od wewnątrz, gdy nasza wiara, nadzieja i miłość będą dostatecznie silne. Dla Henriego Le Saux tę samą myśl wyraża modlitwa indyjskich upaniszad, którą mnisi i goście aśramu recytują każdego dnia: „Z nicości prowadź mnie do bytu, z ciemności do światła, ze śmierci do życia”.

Ksiądz Monchanin i ojciec Le Saux do wyjazdu na misję przygotowywali się 15 lat, w pewnym sensie z konieczności, ponieważ ich przełożeni nie dali im od razu zgody na wyjazd do Indii. Jules Monchanin otrzymał ją w 1938 roku. Indyjski biskup mianował go wikarym w najodleglejszym zakątku diecezji Tiruchirapalli. W noc Bożego Narodzenia młody wikary wygłosił swe pierwsze kazanie w miejscowym języku. Ubogim rozdał wszystkie swoje pieniądze. Ostatecznie sam musiał prosić o jałmużnę. Hindusi zapewniali go,

że w poprzednim wcieleniu musiał żyć w Indiach i być uczniem jakiegoś wielkiego mistrza. On sam twierdził, że przyszedł czas na owocowanie ziarna rzuconego przez św. Tomasza Apostoła, który poniósł męczeńską śmierć pod dzisiejszym Madrasem, także przez św. Franciszka Ksawerego, którego grób znajduje się w indyjskim Goa, czy jezuitę Roberta de Nobiliego, który już w XVII wieku pragnął zbudować chrześcijańską teologię na gruncie indyjskiej filozofii. Ksiądz Monchanin nie mylił się: 25 lat później Sobór Watykański II mówi wyraźnie o potrzebie inkulturacji.

Jules Monchanin pragnął nawiązać kontakt z hinduskimi intelektualistami, aby uformować w sobie „indyjski umysł”. Jego zdaniem powołanie misjonarza w pełni realizuje się tylko poprzez całkowite wcielenie w kulturę ludzi (językową, artystyczną, filozoficzną, religijną), do których jest posłany. Jest to idea powszechności, bez której Kościół przestałby być sobą i stałby się sektą.

Trzeba pamiętać, że ksiądz Monchanin był człowiekiem kontemplacji, dlatego też łatwo mógł zrozumieć jej prawdziwy sens w hinduizmie, wyrażony szczególnie w systemie indyjskiej jogi. Jakże często jego uwagi odnośnie na przykład niebezpieczeństw praktyki jogi pozostawały w całkowitej zgodności z ostrzeżeniami starożytnych indyjskich tekstów i współczesnych mu guru. Monchanin uważał, że powinny zostać wypracowane praktyki „chrześcijańskiej jogi”, które prowadziłyby do kontemplacji Boga. Był przekonany, że nauka Ewargiusza z Pontu, wychowanego w kręgu św. Bazylego i Grzegorza z Nazjanzu, bliska jest doświadczeniu jogi.

Monchanin określa jogę jako ascezę ciała i umysłu, opanowanie zmysłów, wyobraźni i myśli; wyrzeczenie się wszystkiego co nieistotne, co nie jest Jaźnią. Ostatecznie – w obliczu dostrzeganej pełni – musimy wyrzec się i samej jogi. Zdaniem księdza Monchanina joga prowadzi do wypełnienia pustki pomiędzy słowami dzielonymi z innymi ludźmi a samotnością ciszy dzielonej z Bogiem.

Jules Monchanin podkreśla, że joga jest metodą, a nie doktryną, a przez to nie jest w swej istocie specyficznie hinduistyczna. Dzięki temu „wcielenie” metod jogi do duchowości chrześcijańskiej staje się łatwiejsze. Pełna inkulturacja indyjskiego chrześcijaństwa zakłada zatem integrację jogi z chrześcijańską duchowością.

Na konferencji w Madrasie pod koniec 1956 roku, w której uczestniczyli także ojciec Bede Griffiths i ksiądz Raimon Panikkar, ojciec Jules Monchanin wygłosił swój ostatni odczyt, zatytułowany „Dążenie do Absolutu”. Wielu traktuje wykład jako jego duchowy testament. Dokonał w nim porównania mistycznych tradycji chrześcijaństwa i hinduizmu. Mówił: „Stoimy w obliczu dwóch problemów, gdy próbujemy porównać przez analogię i przeciwstawienia chrześcijański mistycyzm z mistycyzmem hinduskim. Czy wedyjska wizja istnienia sat stanowi wyzwanie dla naszej postarystotelesowskiej ontologii? Analogicznie, czy mistyczne doświadczenie nie jest wezwaniem w Trójcy Jedynej Boskiej Istoty, aby rozpatrzyć na nowo naszą ideę esse?”. Ostatecznie podkreśla, że dialog pomiędzy hinduskim mistycyzmem a mistycyzmem chrześcijańskim musi odbywać się na tym samym metafizycznym i teologicznym poziomie. I tylko taki dialog może rozbić odgradzający nas mur.

Ostatnie wypowiedziane na konferencji słowa pozwalają nam określić dalszy kierunek poszukiwań księdza Monchanina w dialogu z kulturami i religiami Indii, który przerwała jego śmierć: „Aktualnie naszym zadaniem jest utrzymanie wszystkich drzwi otwartych w cierpliwym oczekiwaniu i z teologiczną nadzieją na czas, w którym nastąpi adwent Indii, aby urzeczywistniona została pełnia Kościoła i pełnia Indii. Pamiętajmy w tym długim czuwaniu, że bardzo często *»amor intrat ubi intellectus ad ostium«* – miłość może wejść, podczas gdy intelekt zmuszony jest do stania u drzwi”.

Z powodu choroby Monchanin wrócił do Francji. Zmarł w Paryżu miesiąc po przybyciu. Jego duch pozostaje w Indiach. Ostatni

list, jaki wysłał do swego biskupa diecezji Tiruchirapalli w Indiach, kończy się słowami: „Ofiarowuję moje życie Bogu za aśram Shantivanam, zarówno moje życie, jak i śmierć, jeśli taka jest Jego wola”.

Gdy zmarł Monchanin, ojciec Le Saux przez kilka lat pozostawał sam w aśramie. Potem przekazał go ojcu Bede Griffithsowi, aby samemu pielgrzymować w Himalaje i prowadzić życie pustelnicze. Atak serca przerwał jego samotną pielgrzymkę. W ostatnim okresie życia przeżywał głębokie doświadczenia mistyczne. Zmarł w Indore 7 grudnia 1973 roku.

Ojciec Le Saux był przekonany, że Bóg obdarzył ludzi w różny sposób, dając jednym po dziesięć talentów, innym po jednym, ale nikt nie odszedł z pustymi rękami. Ludy Indii także otrzymały swój talent i pomnożyły go. Teraz czekają, aby ich drogocenna perła została objawiona w Kościele i przez Kościół. Indie – zdaniem ojca Le Saux – przychodzą w momencie wybranym przez Boga, aby pomóc Kościołowi na nowo objawić swoje skarby. Tak było zawsze w historii. Najpierw mądrość Egiptu, Chaldei i Persji pozwoliła ukazać i objaśnić objawienie Boga dane prorokom i królom Izraela, następnie talenty Greków pomogły ukazać światu mądrość Jego Ewangelii. Dziś przysła kolej na Indie z talentem ukrytym w głębi ich ducha. Bóg czeka, aż wspólnota Kościoła dorośnie i sięgnie do samych głębin, aby odnaleźć ową perłę, do czego od wieków zapraszają mędrcy i mistycy Indii. Ich doświadczenie i mądrość pozwolą także Kościołowi na nowo objawić jego ukryte skarby. Tak naprawdę to Kościół czeka w głębi serca Indii i czeka Bóg, który jest cierpliwy, ale przede wszystkim transcendentny w stosunku do miejsc i czasów. *Maranatha! Przyjdź Panie!* – rozlega się coraz głośniejsze w sercu Indii i w sercu Kościoła. I – jak mogłem zobaczyć – nie jest to już głos samotnych pielgrzymów.

2

CHRZEŚCIJANIE I BUDDYŚCI W DIALOGU MIŁOŚCI

Tekst wygłoszony w czterdziestą rocznicę ogłoszenia
przez Sobór Watykański II „Deklaracji o stosunku Kościoła
do religii niechrześcijańskich (*Nostra aetate*)”.

Ojcie niebieski, który oświecasz każdego człowieka, gdy na świat przychodzi, pozwól nam być świadkami Twojej miłości dla wszystkich, których stawiasz na naszej drodze życia, bez względu na rasę, kolor skóry, narodowość czy wyznawaną religię.

Pozwól nam doświadczyć, że każdy człowiek jest naszym bratem, bliźnim, dającym nadzieję na spotkanie Ciebie w drugim. Daj nam dostrzegać Twoją obecność w różnorodności i jedność w wielości.

Niech towarzyszy nam świadomość, że miłość może dotrzeć tam, gdzie intelekt musi czekać u drzwi.

Pozwól nam także trwać w cierpliwym oczekiwaniu, z teologiczną nadzieją na urzeczywistnienie pełni Kościoła we wszystkich kulturach i narodach...

I prowadź nas z iluzji do rzeczywistości,

Z ciemności do światła,

Ze śmierci do życia wiecznego;

Dodaj siłę, gdy mnożą się wątpliwości

I umocnij w sercach wszystkich ludzi nadzieję

na spotkanie w miłości. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

(pisane w Shantivanam, klasztorze Kamedułów,
Indie, 22 IX 2005)

SEMINARIUM JOHNA MAINA, benedyktyna z Anglii, który dla współczesnego świata odkrył na nowo praktykę chrześcijańskiej medytacji, odbyło się we wrześniu 1994 roku. Jego gościem był Tenzin Gyatso, Dalajlama XIV Tybetu. Zachęcał nas, abyśmy byli dobrymi katolikami, wiernymi własnej tradycji. Medytowaliśmy też razem w kościele Chrystusa Króla w Londynie. Dalajlama siedział niedaleko ołtarza, na którym przed laty umieszczono napis: „Gdzie miłość, tam Bóg”. Myślę, że te słowa najlepiej oddają sens międzyreligijnego dialogu, bo jak powiedział Jan Paweł II do przedstawicieli religii niechrześcijańskich w lutym 1986 roku: „Przez dialog sprawiamy, że Bóg staje się obecny między nami, ponieważ gdy otwieramy się na drugich, otwieramy się także na Boga”. Znaczy to też, że przez dialog otwieramy się na miłość, bo „Bóg jest miłością” (1 J 4,16).

W Polsce nie mamy wielu doświadczeń „duchowej wymiany”, ale niektóre spotkania międzyreligijne są bardzo znaczące. Najważniejsze z nich były związane z pobytem Dalajlamy w Polsce. W czasie jednego ze spotkań spytałem go o owoce międzyreligijnego dialogu także dla buddystów. Odpowiedział: „Osobiście miałem wiele okazji do spotkań z przywódcami różnych tradycji religijnych, a szczególnie z katolikami, katolickimi mnichami i mniszkami. Kiedy nasza relacja staje się bliższa, wtedy okazuje się, że mamy wiele wspólnych praktyk. Szczególnie na płaszczyźnie monastycznej jest wiele podobieństw: prostota, zadowolenie, oddanie się dyscyplinie, medytacji, modlitwie. Dlatego praktyka i przekaz, który jest podstawą w różnych tradycjach religijnych, są podobne: miłość, pokojowe podejście do rzeczywistości... Ponieważ mamy wiele podobnych praktyk, toteż poprzez zbliżenie naszych relacji możemy przekazywać sobie wiele doświadczeń z własnego życia, w ten sposób możemy wzajemnie się ubogacać. Buddyści mogą wiele się nauczyć od innych tradycji i inni mogą się uczyć

patrzeć na świat z perspektywy buddyzmu. Myślę także, że ważne jest, aby trzymać się własnej religii i jednocześnie rozwinać w sobie pewien szacunek dla innych tradycji”.

Oczywiście nic się nie rozwija bez trudności. Jan Paweł II niejednokrotnie był krytykowany za swoje otwarcie na dialog z innymi religiami. Po spotkaniu w Asyżu niektórzy oskarżali go o uleganie wpływom New Age, inni – na przykład ks. Karl Stehlin z bractwa św. Piusa, założonego przez abpa Lefebvre’a – stwierdzali, że spotkanie w Asyżu to najstraszniejsza katastrofa i największa herezja czy największe bluźnierstwo w historii Kościoła. Z drugiej zaś strony wypowiedź o buddyzmie w książce papieża *Przekroczyć próg nadziei* wykorzystywana była przez niektórych jako argument przeciw dialogowi. James Conner OCSO nazwał tę wypowiedź „szczęśliwą winą” – w praktyce bowiem wywołała dyskusję i zainteresowanie dialogiem międzyreligijnym. Zainspirowała też Papieską Radę ds. Dialogu Międzyreligijnego do zorganizowania seminarium chrześcijańsko-buddyjskiego, z udziałem uczonych chrześcijańskich i buddyjskich, w buddyjskim klasztorze Fo Guang Shan (Światło Buddy na Górze). W deklaracji końcowej napisano między innymi: „Poprzez prezentację najwyższych wartości dla serc i umysłów wyznawców obu religii, uczestnicy pogłębili również swój wzajemny szacunek. W trakcie dyskusji wyjaśniono wiele nieporozumień, co zwiększyło wrażliwość i uznanie dla religii wyznawanej przez drugą stronę”. Podobne spotkanie, chociaż z udziałem głównie mnichów, miało miejsce w klasztorze Trapistów w Gethsemani. Na spotkaniu tym Dalajlama powiedział, że już po wydaniu książki *Przekroczyć próg nadziei* odbył bardzo serdeczną rozmowę z Janem Pawłem II.

„Żadna kultura nie może przeżyć, jeśli stara się być jedyną i wykluczającą inne” – napisał Jan Paweł II w księdze pamiątkowej mauzoleum Mahatmy Gandhiego podczas pielgrzymki do Indii w listopadzie 1999 roku. Na spotkaniu z przedstawicielami

religii Indii powiedział zaś: „Wolność religijna jest sercem wszystkich praw człowieka. Jest ona niepodważalna do tego stopnia, że powinno być szanowane prawo poszczególnych ludzi do zmiany religii, jeśli im to nakazuje ich sumienie”.

Jestem przekonany, że problem przyszłości dialogu i przyszłości świata tkwi w wolności. Św. Benedykt widział ten problem wyraźnie. W swojej „Regule” pisał: „Skoro chcesz...”. Czy zatem będziemy chcieli ponieść trud przemiany i być nieobojętnymi na los innych? Czy będziemy chcieli iść drogą dialogu, miłości i pokoju? Możemy też wybrać drogę konfrontacji i wzajemnych oskarżeń, która prowadzi do agresji i nienawiści. Wybór należy do każdego z nas.

Do wyboru drogi dialogu zachęcał Jan Paweł II. W 2002 roku w Rzymie, na spotkaniu z przedstawicielami uniwersytetu Gregorianum, powiedział: „W tych trudnych czasach, kiedy przemoc, wojny i terroryzm są przyczyną pogłębiających się przepaści pomiędzy narodami, przed wszystkimi chrześcijanami stawiam bardzo poważne zadanie: musimy podjąć dialog i uchronić naszą cywilizację od zagłady”.

*Nie pozwól zatem, aby zaszło słońce,
jeśli gniew gości w twym sercu,
nie pozwól także, aby zaszło słońce,
jeśli w swym sercu nosisz urazę,
nie pozwól również, aby zaszło słońce,
gdy brak w twym sercu przebaczenia...
Niech zły duch odejdzie,
zanim zajdzie słońce.*

3

MARANATHA, PRZYJDŹ PANIE

PODCZAS SEMINARIUM POŚWIĘCONEGO naukom Johna Maina, zmarłego w 1982 roku benedyktyńskiego mnicha, wiele mówiono o tym, że współczesny człowiek chciałby medytować, ale nie ma czasu, bo jest zbyt zajęty. Wtedy Tenzin Giaco, Dalajlama XIV, opowiedział historię o nauczycielu i uczniu. Pewnego razu nauczyciel, by zachęcić ucznia, powiedział, że jeśli będzie ładna pogoda, wybiorą się na piknik. Kilka dni później uczeń spytał: „Jest ładny dzień, czy pójdziemy na piknik?”. Nauczyciel odpowiedział: „Może innym razem, teraz jestem zbyt zajęty”. Minęło wiele czasu. Któregoś dnia uczeń zobaczył ludzi niosących zwłoki na spalenie. Nauczyciel zapytał go: „Co się dzieje?”. Uczeń odpowiedział: „Jakiś biedny człowiek idzie na piknik”.

Jonh Main OSB pragnął ożywić ducha kontemplacji we współczesnym świecie. Zainspirowany medytacją w hinduizmie, postanowił poszukać podobnej formuły w chrześcijaństwie. I znalazł ją we wczesnej tradycji monastycznej, u Ojców Pustyni i u Jana Kasjana, który był mistrzem św. Benedykta, a także w późniejszej tradycji Kościoła. Main nauczał, że medytacja czy kontemplacja (słów tych często używa się zamiennie, choć nie do końca słusznie) nie jest czymś zarezerwowanym tylko dla grona wybranych, szczególnie poświęconych Bogu, ale jest dostępna dla każdego, kto zechce po-

święcić na to codziennie, rano i wieczorem, około 30 minut. Twierdził, że jeśli będziemy systematycznie medytowali, to już po kilku tygodniach odczujemy pozytywne zmiany, takie jak: wewnętrzny spokój, lepsza koncentracja i głębsze relacje z Bogiem, z ludźmi i ze światem. A po kilku miesiącach zmian tych doświadczą także osoby z naszego otoczenia.

Z inspiracji o. Maina powstała Światowa Wspólnota Medytacji Chrześcijańskiej (The World Community for Christian Meditation). Prowadzi ją dziś o. Laurence Freeman, który towarzyszył Mainowi w zakładaniu pierwszych ośrodków medytacyjnych. Wspólnota jest klasztorem ludzi podążających różnymi ścieżkami życia, ale zjednoczonych praktyką modlitwy kontemplacyjnej. Nic nie jednoczy bardziej niż modlitwa. Ludzie modlący się są zdumieni sposobami, w jakie Bóg objawia się nam przez inne religie, przez Słowo wcieloné w Jezusie. Chrześcijanie praktykujący medytację spotykają się w domach prywatnych, klasztorach, domach parafialnych, szkołach, więzieniach i wielu innych miejscach. Różnorodne grupy medytacyjne inspirowane nauką Maina i wczesną tradycją monastyczną, szczególnie benedyktyńską, łączy wspólne wołanie: *Maranatha!* (*Przyjdź Panie Jezule!*). Na świecie istnieje 27 centrów medytacji chrześcijańskiej i ponad 1000 grup medytacyjnych, które praktykują medytację według nauki o. Maina.

Czas się wypełnił. W medytacji człowiek spotyka się z samym sobą. To doświadczenie może być trudne i bolesne, tym bardziej że jest także wezwaniem do wewnętrznej przemiany. „Nie jest łatwo dostrzec – mówił ojciec Freeman na sesji medytacyjnej w Klasztorze Benedyktynów w Lubiniu w 1999 roku – w jaki sposób sami siebie oszukujemy. Być może przez całe lata działaliśmy pod wpływem jakiejś iluzji. Ten pierwszy etap podróży do prawdziwego siebie może okazać się kryzysem. Jezus o tym przypomina, gdy mówi: »Czas się wypełnił«. Znaczy to, że teraz już nie można dłużej czekać

i unikać prawdy. Stoimy przed nią tutaj i teraz. Kryzys w pewnym sensie jest nieunikniony. W gruncie rzeczy wszelka nasza droga rozwoju jest związana z kryzysem. Moment bolesnej prawdy, której nie da się już dłużej omijać. Przechodzimy przez taki kryzys w wieku młodzięcym. Trzeba pozwolić dzieciństwu odejść, nie można już dłużej powstrzymywać rozwoju. Przechodzimy przez taki kryzys również w połowie życia. Pytamy wtedy: »Co w życiu osiągnąłem?«. Patrzymy na to wszystko, czego chcieliśmy dokonać, i uświadamiamy sobie, że nigdy już nie będziemy w stanie tego zrobić. Te chwile kryzysu są momentem ważnym, kiedy przykładamy jakąś wartość do naszego życia. Prawdziwa wartość życia zależy od tego, jak bardzo zdajemy sobie sprawę z tego, kim jesteśmy. Kryzys pociąga za sobą bolesne uczucie niezadowolenia. Będziemy odczuwali, że wszystko powinniśmy zrobić lepiej i, patrząc tak krytycznie, możemy myśleć, że jak dotąd nasze życie jest przegraną. Być może zaniedbaliśmy okazję czy zmarnowaliśmy talenty, jakie otrzymaliśmy. Możemy nagle dostrzec negatywne postawy w naszym życiu. Być może uznamy, że jesteśmy uzależnieni, lub też ponieśliśmy porażkę w naszych osobistych związkach. Cokolwiek się dzieje – widzimy, jak do tej pory ego panowało i ubarwiała nasze życie, i to jest ta bolesna strona skruchy: dostrzeżenie ego, dostrzeżenie go poprzez te wszystkie maski, w jakie się stroiliśmy”.

Pożegnanie z ego. W tradycyjnej modlitwie, zwłaszcza wśród tłumu, możemy się ukryć za słowami. Wypowiadanie pięknych słów może wzbudzać w nas zadowolenie z siebie i umacniać nasze ego, czyli prowadzi do tego, co zwykliśmy nazywać faryzeizmem. Na pustyni, w ciszy i samotności modlitwy kontemplacyjnej nie ma przed kim udawać i nie można się już dłużej oszukiwać. Modlitwa kontemplacyjna odkrywa prawdę o nas samych. Prowadzi nas do pytania, które dwa tysiące lat temu uczniowie zadawali Janowi Chrzcicielowi: „Co mamy czynić?”. Zdajemy sobie bowiem sprawę,

że nie możemy nadal żyć w kłamstwie, że musimy w jakiś sposób zmienić swoje życie. Czasami próbujemy zrobić to po swojemu.

Freeman wspomina konferencję w Nowym Jorku: „Pamiętam, że gdy (...) mówiłem o znaczeniu wychodzenia poza ego, wtedy zobaczyłem w pierwszym rzędzie kobietę, która – było to od razu widoczne – zupełnie się z tym nie zgadzała. Była to kobieta w typie bizneswoman, z wyglądu bardzo silna. Widziałem, że tylko czeka, żeby dać mi nauczkę. Po konferencji podeszła do mnie i powiedziała: »Całkowicie się nie zgadzam z tym, co ojciec powiedział, nie wierzę, że powinniśmy przekroczyć ego. Strawiłam lata na budowaniu swojego ego i wreszcie stałam się silną osobą, ja jestem swoim ego«”. W ten sposób działa wielu z nas. Trudno dokonać wewnętrznej przemiany, gdyż pożegnanie się ze swoim ego wydaje nam się czymś tak samo przerażającym jak śmierć. I rzeczywiście tak opisują to mistycy chrześcijańscy i Biblia, a także przedstawiciele innych religii.

Kim jestem. Zmarły w roku 1950 Śri Ramana Maharishi był jednym z największych nauczycieli ludzkości ubiegłego stulecia. Miał 16 lat, gdy otarł się o śmierć, i wtedy zrozumiał, kim jest naprawdę. Jego nauka jest bardzo prosta. Ludzie pytali go o wiele ważnych – jak im się wydawało – rzeczy, na przykład o reinkarnację, oświecenie, naturę dobra i zła. W odpowiedzi Maharishi stawiał im pytanie: „Dlaczego chcesz to wiedzieć, dlaczego nie chcesz zapytać, kim jest ten, kto zadaje to pytanie?”.

„Wszystkie nasze problemy w związkach z ludźmi wynikają z naszego ego i z tendencji ego, żeby zamieniać innych ludzi w przedmioty” – twierdzi o. Freeman. Może to być przedmiot atrakcyjny, wtedy druga osoba staje się przedmiotem naszego pragnienia; może to być przedmiot nienawiści – w tym przypadku tworzy się obozy koncentracyjne lub dokonuje czystek etnicznych. Kiedy patrzymy i widzimy z wewnątrz, z prawdziwego centrum nas samych, nie

widzimy żadnych przedmiotów. Jaźń jest zawsze obecna, jest to: JA JESTEM Boga”. Nie trzeba porzucać normalnego życia, aby to odkryć i żyć tak na co dzień.

W praktyce medytacji, której uczył o. Main i która była znana w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, stosuje się święte słowo, werset lub wyrażenie, potocznie nazywane mantrą. Powtarza się je w czasie medytacji. W ten sposób odwracamy uwagę od własnej osoby, a przez to uwalniamy się od wpływów ego. Odkrywamy swoją prawdziwą naturę, jej dobro, piękno i wewnętrzną radość istnienia.

Skrucha staje się winą. Wielu ludzi moment rozproszenia podczas modlitwy traktuje jako grzech – w ten sposób skrucho staje się winą. Jest to jeden ze sposobów samoobrony ego przed odrzuceniem. „W życiu codziennym – mówił Freeman – jeśli coś nam nie wychodzi, nie czujemy się winni. W języku greckim grzech oznacza nietrafienie do celu. Jeżeli strzała nie osiągnie celu, to nie umieszczamy jej w sobie, lecz próbujemy jeszcze raz i w końcu trafiamy. Często nie wiemy, jak to się dzieje”.

Jezus nauczał, że najlepszą drogą wyjścia ze stanu grzechu jest przebaczenie: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy (...)”. Jednym z aspektów tego doświadczenia jest wybaczenie także sobie. Trzeba wyrzec się pragnienia bycia akceptowanym przez innych. Przypomina nam o tym Kazanie na Górze: „Pierwsi będą ostatnimi (...)”. Jeśli nasze szczęście zależy od akceptacji innych, nasze ego postrzegamy jako centrum. Freeman powiedział: „Jedy-nymi ludźmi, na których akceptacji powinno nam zależeć, są ci, co do których mamy pewność, że zdali sobie w pełni sprawę, kim naprawdę są. Nie ma takich ludzi wielu”.

Przewodnik dla zagubionych. Jesteśmy stworzeni do pełni życia. Nasze ego nie chce umierać, dlatego przekonuje nas, że możemy osiągnąć pełne życie bez śmierci ego. W ten sposób zmusza

nas ono do zdobywania i wydawania pieniędzy, ulegania przyjemnościom nie tylko zmysłowym, ale i duchowym, sławie, władzy nad innymi itd. Jeżeli wybaczymy sobie pełni i do końca, wtedy zaczynamy rozumieć, że wszelkie cierpienie to nie kara, ale możliwość oczyszczenia. W ten sposób ścieżka medytacji pozwala nam wejść na drogę poznawania i odkrywania prawdy o nas, a przez to także o innych.

Na zakończenie sesji medytacyjnej zwykle odmawiamy taką modlitwę: „Niech nasza wspólnota będzie prawdziwym duchowym schronieniem dla poszukujących, przyjacielem dla samotnych i przewodnikiem dla zagubionych. Niech ci, którzy tutaj medytują, będą wzmocnieni przez Ducha Świętego do służenia wszystkim, którzy przychodzą, i do przyjęcia ich jak samego Chrystusa. Niech w ciszy tej sali całe cierpienie, przemoc i zamieszanie świata napotkają moc, która pojedna, odnowi i podniesie ludzkiego ducha. Niech ta cisza będzie mocą otwierającą serca mężczyzn i kobiet na Boga i siebie nawzajem w miłości, pokoju, sprawiedliwości i ludzkiej godności. Niech piękno boskiego życia wypełni tę wspólnotę i serca wszystkich, którzy medytują, pełną radości nadzieją. Niech wszyscy, którzy przychodzą tutaj przygniecen ciężarem ludzkich problemów, odejdą, czyniąc dzięki za wspaniałość ludzkiego życia”.

Niech te prośby spełnią się w życiu każdego z nas.

4

MEDYTACJA TO NASZA INSPIRACJA

WYDAJE SIĘ, ŻE WSPÓŁCZESNE zainteresowanie mistyką i medytacją nie wynika jedynie z ciekawości poznania czy pragnienia przeżywania niezwykłych stanów ekstatycznych. Jest także wyrazem zainteresowania religią, szukaniem drogi wyjścia z zawirowań współczesnej egzystencji i chęcią ocalenia życia.

Andrzej Ziółkowski, inicjator zorganizowania sesji Meditatio, która odbyła się na początku maja 2006 roku w Poznaniu i zgromadziła ponad 160 uczestników, z medytacją zetknął się po raz pierwszy trzy lata wcześniej w Singapurze. Był po stracie bliskiej osoby. Spotkał benedyktyna Laurence’a Freemana, który powiedział mu: „Myślę, że powinieneś medytować”. Andrzejowi Ziółkowskiemu pomysł ten wydał się czymś absurdalnym, nie miał przecież pojęcia, czym jest medytacja. Jednak posłuchał zalecenia. – Dzisiaj, po trzech latach, chociaż ból tej straty jest we mnie, widzę ten okres jako ogromną łaskę, której doświadczyłem i jako transformację mojej wiary – wspominał podczas spotkania.

Współczesna psychoterapia coraz częściej uświadamia sobie, że nie może obejść się bez dorobku tradycji mistycznej. Jednocześnie coraz więcej kierowników duchowych korzysta z pomocy psychoterapii. Oczywiście psychoterapia i kierownictwo duchowe to nie to samo, ale w praktyce trudno je oddzielić. Podobnie medytacja

i medycyna nie są tym samym. „Medytacja to nie aspiryna. Medytacja to inspiracja” – mawia ks. Raimon Panikar, jeden z pionierów dialogu międzyreligijnego. Nie oznacza to jednak, że medytacja nie ma nic do powiedzenia na temat zdrowia i leczenia. Wprost przeciwnie, badania eksperymentalne w różnych częściach świata wykazały jej dobroczynny wpływ na zdrowie ludzkie, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Medytacja stosowana jest powszechnie jako niezastąpiony środek w procesie rozładowania starych urazów, zahamowań, lęków i depresji. Odkryto również jej dobroczynny wpływ na poprawę fizjologicznego funkcjonowania organizmu, na polepszenie snu, pozbycie się migren, bólów głowy czy kłopotów z trawieniem. Wydaje się, że współczesna medycyna coraz lepiej rozumie, co to znaczy leczyć „modlitwą i postem”.

Dziś często odkrywamy to, co kiedyś było dobrze znane i praktykowane. Najlepszym przykładem jest ojciec John Main, uważany za jeden z największych autorytetów duchowych XX wieku. Main, gdy w klasztorze benedyktynów studiował wczesną tradycję monastyczną, odkrył u Ojców Pustyni praktykę medytacji przekazaną Zachodowi przez Jana Kasjana, mistrza św. Benedykta. W 1975 roku ojciec Main wraz z ojcem Laurence'em Freemanem założył Centrum Medytacji Chrześcijańskiej w Londynie, a w 1997 klasztor benedyktyński w Montrealu, który zainspirował odnowę kontemplacyjną w Kościele. John Main zmarł w Montrealu 30 grudnia 1982 roku. Zapoczątkowane przez niego dzieło kontynuuje ojciec Freeman. Co roku organizowane jest w różnych częściach świata Seminarium Johna Maina. W 1991 roku Seminarium prowadził ojciec Bede Griffiths, przeor klasztoru kamedułów Shantivanam w Indiach. To spotkanie zaowocowało powstaniem Chrześcijańskiej Wspólnoty Medytacji (The World Community for Christian Meditation, WCCM). Dziś związanych jest z nią ponad 1000 grup medytacyjnych na całym świecie.

Medytacja, której nauczał o. John Main OSB, a dziś o. Laurence Freeman z Klasztoru Chrystusa Króla w Londynie, jest głęboko zakorzeniona w tradycji monastycznej wczesnego Kościoła, Ojców Pustyni i duchowości benedyktyńskiej. Praktykowana jest do dziś w Kościele Wschodnim, w postaci tak zwanej Modlitwy Jezusowej. Polskim czytelnikom znana jest z książki *Opowieści Pielgrzyma*. Jej autor, nieznan z imienia, ponad sto lat temu wędrował po bezkresnej Rosji, starając się wypełnić słowa Pisma Świętego: „Módlcie się nieustannie”. Odpowiedź znalazł w nauce starca, który zalecił mu powtarzanie kilka tysięcy razy dziennie wezwania „Panie Jezu Chryste zmiłuj się nademną grzesznikiem”.

Tego typu medytacja nazywana jest często „modlitwą serca”. Olivier Clément w swojej książce *Modlitwa serca* pisze o niej tak: „Praktykowana w skromny sposób, odpowiada szczególnie współczesnemu człowiekowi, który uważa, że nie ma czasu na modlitwę. Jeśli ktoś choć trochę praktykuje tę modlitwę, to odkrywa, że ma więcej czasu na nią niż przypuszczał”. Dodaje, że można ją praktykować „kiedy wchodzi się po schodach, idzie ulicą, w czasie mechanicznej pracy ręcznej, podczas krótkiej przerwy w rozmowie, w chwili krótkiego skupienia podczas intelektualnego wysiłku, a także nocą, kiedy wstaje się do płaczącego dziecka”.

Laurence Freeman, który prowadził spotkania medytacyjne Meditatio Poznań 2006, przed laty pisał w liście do powstającej w Polsce Wspólnoty Medytujących Chrześcijan: „Jest to klasztor ludzi zjednoczonych modlitwą serca w modlitwie Jezusa, gdzie Duch Święty napęłnia nasze wnętrza. Klasztor ten nie ma ścian i jednoczy ludzi podążających różnymi ścieżkami życia. W medytacji dotykamy istoty tego, co nazywamy byciem uczniem Jezusa”.

Abp Stanisław Gądecki, metropolita poznański, który odprawił mszę świętą na rozpoczęcie Meditatio, przypomniał, że „od samego początku kontemplacja należy do życia Kościoła, stanowi

jego integralną część i nie można sobie wyobrazić Pana Jezusa, który tylko wygłasza mowy i dokonuje cudów. Gdyby brak było modlitwy Jezusa, z trudem można byłoby uwierzyć w Jego słowa i Jego czyny. Dlatego też i Kościół przez wieki odkrywał różne odmiany duchowości i różne odmiany medytacji, kontemplacji, różne rodzaje modlitwy, ale zawsze uważał, że modlitwa i medytacja są częścią nierozzerwalnie związaną z życiem wiary”. Podkreślił także, iż praktyka i nauka medytacji dotyczą w sposób szczególny księży. W czasie homilii zastanawiał się „w jaki sposób można ich do tego zachęcić, a nawet przymusić”. Arcybiskup jest także przekonany, iż powodzenie wschodnich praktyk medytacyjnych wynika z tego, że ludzie nie znają skarbów, jaki mają we własnych rękach i szukają czegoś poza granicami swojej tradycji.

Polskie słowo *medytacja* pochodzi od łacińskiego *meditare*, a to z kolei od greckiego *melete*. Jednym z podstawowych znaczeń tego słowa jest „powtarzanie”. Możemy więc powiedzieć, że medytacja jest powtarzaniem słowa, jakiejś myśli, frazy czy cytatu z Pisma Świętego, aby głębiej weń wnikać. Istnieje też metoda powtarzania imienia Jezus. Bóg jest obecny w swoim imieniu – dlatego jeśli powtarzamy imię Boga, Bóg staje się obecny w nas i między nami.

Dzisiaj wielu ludzi poszukuje medytacji i nurtu kontemplacyjnego w Kościele. Niektórzy z nich przemierzają świat, podobnie jak Jan Kasjan w IV wieku i John Main w XX, aby się jej uczyć. Każdy czas ma swoich pielgrzymów i proroków chodzących ścieżkami, po których nikt inny nie chodzi. Czytamy o nich w Liście do Hebrajczyków (Hbr 11,38): „Świat nie był ich wart”. Coraz liczniej powstające, również w Kościele w Polsce, wspólnoty medytacyjne utwierdzają mnie w przekonaniu, że ta forma modlitwy znajdowała się w samym sercu i dziś do niego wraca.

5

MIEDZY CIEMNOŚCIĄ I ŚWIATŁEM

PEWIEN WATYKAŃSKI EGZORCYSTA wyznał, że często przychodzą do niego ludzie przekonani, że są opętani przez złego ducha. A on widzi, że są tylko przepracowani i przemęczeni. Nie twierdzą, że sama praca jest demonem, wprost przeciwnie: w tradycji benedyktyńskiej, i nie tylko, praca odpędza demony naszego umysłu. Święty Benedykt twierdzi, że „bezczynność jest wrogiem duszy” i dlatego każdy w określonej porze powinien zajmować się pracą, w innej zaś modlitwą czy medytacją. Może stąd pojawiło się przypisywane benedyktynom hasło: „*Ora et labora*” (módl się i pracuj). Benedyktyni jednak posługiwali się raczej wezwaniem znajdującym się w „Regule” św. Benedykta, a pochodzącym z Pisma Świętego: „Aby we wszystkim Bóg był uwielbiony”. Charakterystyczne, że cytowane słowa znajdują się w rozdziale „Reguły” mówiącym o „rzemieślnikach klasztornych”. A więc odnoszą się bezpośrednio do pracy, ukazują, że praca może i powinna mieć transcendentny i duchowy wymiar – czyli być źródłem wewnętrznego pokoju, harmonii i szczęścia.

Nasza współczesna kultura jest kulturą miejską. W Biblii, w Starym Testamencie kultura ta łączona jest symbolicznie z Babilonem, Sodomą i Gomorą – siedliskiem wszelkiego zła.

Jest to kultura niewolników związanych z ośrodkami władzy, w przeciwieństwie do wędrownych wolnych nomadów, jakimi byli

pierwotnie Izraelici. Współczesny Babilon zniewala także przez pracę, która przestała mieć wartość sama w sobie, a stała się tylko celem do zaspokajania takich popędów, jak posiadanie, znaczenie. Posiadanie i znaczenie stały się (czy stają się) miernikiem wartości człowieka. Jeśli dodamy do tego mnogość ciągle udoskonalanych przedmiotów materialnych, o których na różne sposoby dowiadujemy się i bardziej czy mniej świadomie wierzymy, że dadzą nam szczęście, ułatwią nam życie, dadzą wytchnienie – to wtedy wpadamy w krąg zależności wydawałoby się bez wyjścia. Tym bardziej jest to wciągające, uzależniające, że coraz częściej dotyka bezpośrednio naszego wnętrza poprzez różnego rodzaju kursy doskonalenia umysłu.

Przypomina mi się tu historia o rybaku, który leżąc na plaży, palił swoją fajeczkę, i o biznesmenie, który zachęcał go do wytężonej pracy, aby ten mógł się bogacić, kupować coraz lepsze łodzie i w końcu odpoczywać. Rybak odparł biznesmenowi: „A co ja teraz robię?”. Niestety, coraz częściej postępujemy jak ów biznesmen, odkładając odpoczynek na później. Może niektórym z nas uda się odpocząć na emeryturze, ale chyba dla większości to będzie niemożliwe. Filozofia indyjska mówi o tym, że świat jest iluzją. To znaczy, że często żyjemy w iluzji świata, widząc w niej możliwość zaspokajania naszych potrzeb i osiągnięcia szczęścia. Droga wyjścia z tej iluzji jest odkrycie swego prawdziwego Ja. Taki też jest cel indyjskiej jogi: *citta vridhi nirodha* – powściągnięcie zjawisk świadomościowych, aby poznać prawdziwy podmiot, w innym przypadku nasze Ja jest utożsamiane z różnymi przejawami świadomości. Budujemy więc wiele różnych iluzorycznych form Ja, oddalając się od Ja prawdziwego, pogrążając się coraz bardziej w iluzji. Towarzyszy temu lęk i cierpienie.

W Ewangelii mamy przypowieść o synu marnotrawnym, który mając pieniądze, korzystał z uciech tego świata. Często postępujemy podobnie. Syn marnotrawny, gdy wszystko utracił, odczuwał ból

samotności i głód. „Syn marnotrawny zastanowił się i powrócił do siebie” – jak pisze św. Grzegorz Wielki w swych dialogach. I dodaje, że syn marnotrawny nie był sobą, gdy trwonił majątek otrzymany od ojca. Możemy powiedzieć, że jego czyny nie wypływały z jego prawdziwego Ja. W Ewangelii Chrystus mówi: „Kto straci swoje życie, ten je zachowa”. W nowym angielskim tłumaczeniu Biblii wyrażono to słowami: „Kto straci swoje Ja, ten je zachowa...”.

Religia nie jest po to, aby leczyć nasze lęki i niepokoje. Mają one często pozytywny charakter, prowadzą nas ku przemianie. Pomagają odkryć prawdę o nas samych, prawdę o naszym stosunku do świata, drugiego człowieka i Boga. Podobnie jak zły smak czy nieprzyjemny zapach bronią nas przed spożyciem niezdrowych czy wprost trujących pokarmów, tak samo cierpienie, niepokój czy lęk bronią nas przed niebezpiecznym dla nas postępowaniem czy informują nas, że powinniśmy coś w naszym życiu zmienić.

Kilka lat temu, kiedy przebywałem w Niemczech, pytano mnie, czy księża w Polsce jeszcze spowiadają, gdyż w Niemczech, gdzie spowiedź jest już rzadkością, psychiatrzy domagają się tego, aby księża zaczęli na nowo spowiadać. Zdawał sobie sprawę z tego problemu sam C.G. Jung, który niekiedy zalecał swym pacjentom sakramenty pokuty. Dziś często wolimy pójść do psychoterapeuty niż do kapłana. Zapewne można leczyć niepokoje sumienia metodami psychoterapeutycznymi, ale czy przez to nie wkraczamy jeszcze głębiej w świat iluzji z poczuciem zadowolenia, spokoju? Grzech to „świadome i dobrowolne przekroczenie nakazów moralnych”, ale zarówno świadomość, jak i dobrowolność czynu dają duże pole do manipulacji czy interpretacji. Philip Kapleau, znany również w Polsce nauczyciel buddyzmu zen, był przed laty korespondentem na procesach zbrodniarzy wojennych w Niemczech i Japonii. Zastanowiło go bardzo różne podejście do przyznania się do zarzucanych im zbrodni. Niemieccy oficerowie nie przyznawali się do

nich, twierdząc, że wykonywali tylko rozkazy, winą obarczali swych przełożonych. Japończycy zaś zawsze brali winę na siebie. Widzimy, jak różnie może być odbierana i przeżywana ta sama rzeczywistość. Być może zależy to od kultury i wychowania, ale na pewno zależy to od poziomu naszego Ja, z którym się utożsamiamy.

Ojcowie Pustyni uczyli, że winę należy brać zawsze na siebie, a największym grzechem jest usprawiedliwianie się. Pokuta bowiem, nawet niesłuszna, ma moc przemiany naszych serc. Pozwala dotrzeć do naszego prawdziwego Ja, a ucieczka przed nią i ciągłe usprawiedliwianie się wprowadza nas w nieskończony krąg iluzji.

Budda uczył, że cierpieniem jest starość, choroba, bycie z kimś, kogo się nie kocha, czy oddalenie od tego, kogo się kocha. Słowo „cierpienie” nie jest tu najszcześniejszym tłumaczeniem sanskryckiego DUKHA, które ma znaczenie szersze – oznacza także przeszkodę. Można zatem powiedzieć, że skupienie się na cierpieniu, na naszych lękach i niepokojach może być przeszkodą w dotarciu do naszego prawdziwego Ja, ale także do Boga. W doświadczeniu mistycznym podmiot utożsamia się z przedmiotem. Z tego powodu mistycy różnych czasów i religii często oskarżani są o panteizm. Ale też z tego samego powodu Thomas Merton mógł napisać: „Bóg to moje drugie i prawdziwe Ja!”. Zapewne tam, gdzie jest największe dobro, najłatwiej zasiać największe zło; tak samo kapłani, jak i psychoterapeuci popełniają błędy, prowadząc innych jak ślepy ślepego, to jednak jedni i drudzy mogą nam pomóc odkryć prawdę o nas samych. Podobnie jak starość i cierpienie pozwalają nam odkryć prawdę o naszym człowieczeństwie, a oddalenie od kogoś kogo się kocha – odkryć, czym jest miłość.

Zapewne trzeba doświadczyć w życiu wiele bólu, doświadczyć wielu lęków, aby powrócić przemienionym, aby odkryć swe prawdziwe Ja, aby dojść do pełni człowieczeństwa i pełni boskości. Istnieje powiedzenie, że „serce prawdziwe to serce pęknięte”. Prawdą

jest też, że tylko ten, kto doświadczył wiele cierpienia, może doświadczyć wiele radości. Serce pęknięte to serce otwarte, to serce nieskończone, niezamknięte w skorupie ego.

Kiedy medytowaliśmy w byłym obozie zagłady w Oświęcimiu, wspólnie żydzi, buddyści, muzułmanie i chrześcijanie w miejscu, gdzie było tak wiele bólu, cierpienia i śmierci, po kilku dniach coś w nas pękało. Zaczynaliśmy się uśmiechać, początkowo czuliśmy się nieswojo i zadawaliśmy sobie pytanie: jak można się cieszyć w takim miejscu jak Oświęcim? Uświadomiliśmy sobie w końcu, że nie można przeżywać horroru 24 godziny na dobę i nawet w takim miejscu jak Oświęcim jest czas na chwilę radości. Utwierdził nas w tym przekonaniu były więzień obozu, który nawet z pewną dozą humoru opowiadał o tym, co przeżywał w Oświęcimiu. Ostatecznie ci, którzy płaczą, cierpią i doznają lęków, zostaną pocieszeni i zazną pokój. Zgodnie z tym, co napisał prorok Izajasz prawie trzy tysiące lat temu: „Spodobało się Panu zmiażdżyć swego sługę cierpieniem (...) po udrękach swej duszy ujrzy światło i nim się nasyci” (Izajasz 53,11).

*Ból zbliża i jak radość
przynosi owoc odpocznienia
wraz z poranną mgłą
strąca krople rosy
ptaki ją piją z ochotą
gdy mgła opadnie
można dostrzec
zrodzone góry.*



Archanioł Michał

autor Michał Płoski

6

BRAMY NIEBIOŚ SA WSZĘDZIE

SZCZĘŚLIWYM ZAPEWNE JEST TEN, kto nie pyta o szczęście. Pytania tego bowiem nie stawia się czysto teoretycznie. Zakłada ono odczuwany dualizm szczęścia i jego zaprzeczenia – nieszczęścia. Gdy Bóg umieścił człowieka w ogrodzie Eden, widział, że wszystko było bardzo dobre. Ten okres nazywa się zwykle pierwotnym stanem szczęścia. Dualizm pojawił się po skosztowaniu owocu drzewa poznania dobra i zła. Od tego momentu człowiek doświadczał szczęścia i nieszczęścia. Teologia mówi tu o grzechu pierworodnym. W innym języku możemy mówić o wyalienowaniu się z własnej, prawdziwej istoty, prawdziwego „ja” – i w konsekwencji niemożności poznawania siebie samego takim, jakim się jest w rzeczywistości. Pograżamy się zatem w iluzji.

Historia biblijna nie musi odnosić się do czasu w sensie historycznym. Możemy ją rozumieć w odniesieniu do przemiany ludzkiej świadomości, od doświadczenia jedności do dualistycznego myślenia i przeżywania ludzkiej egzystencji. Czasami trzeba przejść przez wielką burzę w życiu, doświadczyć wiele bólu i cierpienia, może nawet upaść, otrzeć się o zło pod różnymi postaciami i „być leczonym, zamiast leczyć innych” (jak pisał profesor Kazimierz Dąbrowski), aby powrócić do owej pierwotnej jedności i szczęścia, powrócić innym, przemienionym.

W moim osobistym doświadczeniu ten powrót dokonuje się w ciszy i bezruchu medytacji, które pozwalają dotrzeć do tego, co jest podstawą bycia, co jest przed..., także przed szczęściem i nieszczęściem. Często lękamy się tej przemiany, bywa ona niekiedy bardzo bolesna. Dlatego uciekamy przed nią i robimy tysiące rzeczy, czasami pożytecznych, uzasadniając i oddalając konieczność powrotu. Wyrazem tego doświadczenia był wiersz, który napisałem kilka lat temu:

*Bardzo ważne jest,
abyśmy doświadczyli ciszy,
ciszy, która wykracza poza
nazwę i formę.
Bardzo ważne jest,
abyśmy doświadczyli ciszy,
ciszy, która jest wewnątrz nas
jak w skorupie orzecha,
ciszy, która niczego
nie wyklucza.
W ciszy
umysł znajduje spoczynek,
w ciszy
wyczerpuje się gniew,
w ciszy
ustaje pożądliwość,
w ciszy zanika niewiedza,
w ciszy jesteśmy zdolni
dostrzec promień światła,
które jest w nas.
Ciszą można się przerazić,
ciszą można się zachwycić,*

*cisza może być niewinna,
cisza może być intymna.
Gdy mnożą się trudności,
powinniśmy powracać do ciszy.*

W Ewangelii Mateusza początek nauczania Jezusa Chrystusa to „Kazanie na górze”. Użyte w nim greckie słowo „*makarioi*” bywa często tłumaczone jako „błogosławieni”. Bardziej jednak odpowiada mu polskie „szczęśliwi”. „Szczęśliwi ubodzy w duchu (...), szczęśliwi, którzy się smucą (...), szczęśliwi cisi (...), czystego serca (...), którzy wprowadzają pokój (...), którzy cierpią prześladowanie (...)”. Co w tym wszystkim może być szczęśliwego?

Z punktu widzenia duchowej przemiany każde nieszczęście przeżyte, przyjęte, zaakceptowane, może stać się okazją do wewnętrznej przemiany. Nauka chrześcijańska podkreśla zbawczą rolę cierpienia przez jego odniesienie do cierpienia i śmierci, ale i tryumfu zmartwychwstania Jezusa. Widzimy to często w życiu świętych. Cierpienie spowodowane chorobą czy niezrozumieniem przez współczesnych było tym, co ich oczyszczało, przemieniało i prowadziło do pierwotnej, dziecięcej ufności w zwycięstwo dobra i miłości. Każde nieszczęście może być okazją do przemiany i powrotu do raj.

Bliskie jest mi szczególnie doświadczenie cystersa Thomasa Mertona. Na początku swej drogi duchowej usłyszał w swym wnętrzu słowa: „Dam ci wszystko, czego pragniesz. Poprowadzę cię w samotność, poprowadzę cię drogą, której nie potrafisz absolutnie zrozumieć, bo chcę, żeby to była droga najkrótsza. Wszystkie rzeczy wokoło ciebie uzbroją się przeciwko tobie, aby się wyrzec ciebie, aby cię ranić, aby ci sprawić ból, a przez to doprowadzić cię do osamotnienia. Ich wrogość sprawi, że pozostaniesz wkrótce zupełnie sam. Wyrzucą cię precz, opuszczą cię, odrzekną się cie-

bie i będziesz samotny. Wszystko, co cię dotknie, będzie cię palić, i z bólu będziesz cofał swą rękę, aż oddalisz się od wszystkich rzeczy stworzonych... abyś mógł się stać bratem Boga i nauczyć się poznawać Chrystusa ludzi wypalonych płomieniem”. Były to słowa prorocze. Po kilku latach spędzonych w pustelni niedaleko opactwa Gethsemani w Kentucky, Merton wybrał się w podróż do Azji. Czas duchowej walki i cierpienia zaowocował nowym widzeniem świata, wszystko stało się proste i jasne. Sześć dni przed swoją śmiercią Merton napisał: „Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w życiu miał tak silne poczucie piękna i mocy duchowej, połączonych ze sobą w ekstatycznej iluminacji. Wiem, że zobaczyłem to, czego w niejasny sposób szukałem, nie wiem, co jeszcze pozostaje, ale zobaczyłem i przebiłem się przez powierzchnię, i dotarłem w głąb, poza cień i przebranie”.

Jestem przekonany, że ci, którzy przeżyli coś podobnego, nie żałują niczego, również tych nieszczęśliwych momentów. W stanie najwyższej iluminacji, będącej zwykle owocem długich medytacji i kontemplacji, pojawia się spontanicznie całkowite zapomnienie o sobie i traci się tak charakterystyczną dla racjonalnego, dualistycznego myślenia strukturę podmiot – przedmiot. „W tym momencie świadomość naszego fałszywego »ja« odpada od nas jak brudne ubranie, ciężkie od wilgoci i błota. Głębokie »ja« leżące zbyt głęboko dla refleksji i analizy uwalnia się i zapada w przepaść Bożej wolności i Jego pokoju” – twierdzi Thomas Merton. W książce *Conjectures of a Guilty Bystander* opisuje, jak w centrum handlowym Louisville nagle przyszło mu do głowy nieodparte przekonanie, że wszyscy ludzie są jego, a on jest ich, i że między nimi nie istnieje żadna obcość. Pisał: „Moja samotność jednakże nie jest moją własnością, widzę bowiem, jak dalece należy ona do nich i że mam odpowiedzialność za nią w stosunku do nich, a nie tylko do samego siebie. Właśnie z uwagi na to, że tworzę jedno razem z nimi, im

zawdzięczam, że mogę być sam, a kiedy jestem sam, oni to nie są »oni«, a tylko moje własne »ja«. Obcy nie istnieją”. Doświadczenie to Merton nazywa darem. Wierzy on, że dostępne jest każdemu, gdyż „bramy niebios znajdują się wszędzie”.

Stara chińska opowieść wspomina o starcu, któremu uciekł koń. Sąsiedzi przychodzili do niego, aby wyrazić mu współczucie. Starzec jednak powiedział: „Czy to szczęście, czy nieszczęście, któż to wie”. Po tygodniu koń starca powrócił ze stadem dzikich koni. Sąsiedzi tym razem przyszlizli z gratulacjami. A starzec powiedział: „Czy to szczęście, czy nieszczęście, któż to wie”. Podobnie było, gdy syn starca złamał nogę, ujeżdżając dzikie konie, i gdy nie wzięto go do wojska z powodu tejże złamanej nogi... Historię można ciągnąć w nieskończoność. Uczy nas, że to, co wydaje nam się szczęściem, może być przemienione w nieszczęście, a to, co wydaje nam się nieszczęściem, okazać się może szczęściem.

Musimy zatem uczyć się akceptować wszystko, co nam się w życiu przydarza. Dzięki temu wszystko może być przemienione w szczęście. Potrzeba nam jednak na tej drodze wsparcia MIŁOŚCI, która:

*Kocha w nas
nasze lęki i rozpacz
i ból niewysycony
Kocha w nas
nasze dni samotności
i miłości nieodwzajemnione
Kocha w nas
nasze pogmatwane drogi
i przeciwności przewyciężone
Kocha w nas
nasze marzenia*

*spełnione i niespełnione
Kocha w nas
nasze myśli najsłabsze
i prace codzienne
Kocha w nas
to wszystko, co nas kształtowało
rodziło na nowo, przemieniało,
i uczyło obdarowywania innych
miłością bez oczekiwania
odpowiedzi.*

Bez doświadczenia miłości trudno będzie nam przyjąć wszystko takim, jakie jest. Ostatecznie możemy powiedzieć za Julianną z Norwich: „Wszystko skończy się dobrze”. W końcu ci, którzy się smucą, zostaną pocieszeni; cisi na własność posiadą ziemię; którzy łakną sprawiedliwości, będą nasyceni; miłosierni miłosierdzia dostąpią; którzy cierpią prześladowania, odziedziczą królestwo niebieskie.

7

KROCZYĆ DROGĄ, NIE WIEDZĄC, DOKĄD SIĘ IDZIE

WYDARZENIA OSTATNICH MIESIĘCY uświadamiają nam, jak wielu zwątpiło, że jest nadzieja dla świata. Współczesną cywilizację stworzyli ludzie aroganccy, przekonani, że wiedzą, jak wszystko zrobić najlepiej. Naprawić świat mogą tylko ci, którzy wiedzą, że nie wiedzą. Musimy ciągle powracać do początków wiary, nadziei i miłości, która została nam dana. Miłości nie sposób się nauczyć, jedyne, co możemy zrobić, to oduczyć się nienawiści, bo jak mówił Szlomo Carlebach: „nienawiść jest nauczona, a miłość zapomniana”.

Nadzieja drogi. „Historia jakiegoś życia jest historią podróży” – mówił U’Thant. Gdy Abraham usłyszał słowa JHWH: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i domu twego ojca do kraju, który ci ukazę” (Rdz, 12,1), otrzymał nadzieję błogosławieństwa dla siebie, ale i dla tych, którzy przyjdą po nim. Abraham wyszedł, choć „nie wiedział dokąd idzie” (Hbr, 11,8), „wbrew nadziei uwierzył nadziei” (Rz, 4,18).

Paulo Coelho w *Alchemiku* ukazuje historię chłopca, który przemierza świat, aby dowiedzieć się, że skarb, którego szuka, znajduje się tam, skąd wyruszył. Ta historia powtarza się w różnych epokach i kulturach. W przedwojennej opowieści wspomniana jest historia rabina z Krakowa, który kilkakrotnie miał sen, że pod mostem w Pradze znajduje się skarb. Gdy udał się do Pragi, aby

to sprawdzić, usłyszał od żandarma pilnującego mostu, że on też miał sen, iż u pewnego rabina w Krakowie znajduje się skarb. Rabin wrócił do domu i odkrył go.

Historia drogi ukazuje prawdę, że każdy z nas przychodząc na świat, zostaje obdarowany wszystkim, co potrzebne jest do szczęścia – wiarą, nadzieją i miłością, ale skarb jest zbyt blisko, aby mógł być dostrzeżony i doceniony, dlatego przemierzamy świat, aby odkryć go na nowo.

Nadzieja nie-wiedzy. Filokrates z opowiadania „Chwała cesarstwa” Jeana d’Ormessona chciał być równie mądry jak mag, który pewnego razu odwiedził Aleksandrię. Mag jednak ostudził zapał młodego filozofa, mówiąc: „Ja nic nie wiem”, i dodał, że wiedzieć to także cierpieć. Młody filozof wołał wiedzieć i cierpieć niż nie wiedzieć.

Grecka filozofia skończyła się powiedzeniem Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem”. Mistyka chrześcijańska uczy poznania przez niewiedzę. W *Drodze na Górę Karmel* św. Jan od Krzyża pisze wyraźnie: „im więcej dusza zajmuje się jasnymi i wyraźnymi pojęciami, (...) tym mniej jest zdolna do wejścia w głębię wiary, która pochłania wszystko inne” (D III, 7,2).

Owo „nie wiem” jest postawą umysłu, która odmawiając intelektualnego ujęcia i słownego przekazu, skierowuje nasz umysł w stronę doświadczenia tajemnicy poza słowami, poza pojęciami. To doświadczenie zdobywa się raczej w ciemności medytacji i kontemplacji niż w świetle bibliotek czy ekranów komputerowych.

Nadzieja ciszy. Podążając drogą medytacji i kontemplacji, wyrzekamy się naszej wiedzy o rzeczywistości, aby jej dotknąć i uczestniczyć w niej samej. Wchodzimy na drogę nie po to, aby ją poznać, lecz aby nią kroczyć... nie wiedząc, dokąd się idzie.

Najgorszą rzeczą jest mieć na wszystko gotową odpowiedź, wszystko nazwać, ująć, pojąć i opisać. Tego rodzaju poznanie można

nazwać śmiertelną wiedzę, która rodzi śmiertelną nadzieję w przeciwnieństwie do żywej nie-wiedzy, która daje nadzieję życia. Medytacja, która jest formą modlitwy, jest – jak mówi de Saint-Exupéry – „ćwiczeniem się w ciszy”, również wtedy, gdy nie otrzymujemy odpowiedzi. Milczenie Boga jest znakiem, że modlitwa daleka jest od targowiska i piętna wymiany handlowej. Nowicjuszom na pustyni w Egipcie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie udzielano nauk. Istniało przekonanie, że cisza wszystkiego ich nauczy. Bywa, że lękamy się ciszy, gdyż objawia nam ona prawdę o nas samych. W ciszy poznajemy swoje wnętrze, przeżycia, pragnienia, uczucia i myśli, których dostrzec nie chcieliśmy. Ojcowie Pustyni uczyli, że jeśli chcesz poznać Boga, musisz najpierw poznać samego siebie. „Biada więc – jak pisał Edward Stachura – wszystkiemu, co czynisz przed poznaniem siebie”. Poznanie siebie i poznanie Boga tak bardzo wzajemnie się warunkują, że Thomas Merton mógł powiedzieć, iż „Bóg to moje drugie i prawdziwe JA”. Do tego doświadczenia dochodzimy poprzez przekroczenie wielu fałszywych obrazów siebie. Odkrywamy także głęboką nadzieję, że nie tylko „dla Boga nie ma nic niemożliwego” (Łk, 1,37), ale również i dla tego, który zjednoczony jest w ciszy z Bogiem, wszelkie trudności są do przewyciężenia. Katechizm Kościoła Katolickiego uczy, że chrześcijańska nadzieja podtrzymuje w trudnościach, chroni przed egoizmem i prowadzi do szczęścia w miłości. Błogosławieństwa bowiem umacniają naszą nadzieję w przeciwnościach i zapewniają radość nawet w czasie próby: „Weselcie się nadzieją! W ucisku bądźcie cierpliwi” (Rz, 12,12).

Nadzieja miłości. Chrześcijańska nadzieja rozwija się w jedności z wiarą i miłością, pisze o tym św. Paweł: „Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy: z nich największa jest miłość” (I Kor, 13,13). Wiara zatem powinna być podtrzymywana przez nadzieję i działać przez miłość, a „nadzieja zawieść nie może, ponieważ mi-

łość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany” (Rz, 5,5).

Doktor George G. Ritchie przebywał zaraz po wyzwoleniu w obozie w Wuppertalu. Zauważył, że wielu byłych więźniów mimo wysiłków lekarzy umiera. Zauważył także, iż w ich sercach nadal jest wiele nienawiści. Był tam człowiek, który odznaczał się niespożytą energią i zdrowiem. Przebywał on w obozie od początku wojny. Pochodził z Warszawy. Gdy hitlerowcy rozstrzelali jego żonę i pięcioro dzieci, nie poddał się pokusie nienawiści. Był prawnikiem i brał udział w rozprawach sądowych, wiedział więc, co nienawiść robi z człowiekiem. Postanowił, że resztę życia spędzi, kochając każdą osobę bez względu na wszystko. To pozwoliło mu przetrwać.

Chrystus całą swoją naukę zawarł w przykazaniu miłości. W naszym osobistym i bezpośrednim poznaniu doświadczamy przede wszystkim siebie. Od tego doświadczenia zależy nasz stosunek do drugiego człowieka i w konsekwencji – Boga. Mówi się, że drugi człowiek jest dla nas lustrem. Jeśli nie akceptujemy siebie, swoich wad i niedoskonałości, to widzimy je w drugim. Chrześcijaństwo ukazuje miłość Boga do człowieka, który posyła swego Syna, aby świat zbawił. Syn godzi się na cierpienie i haniebną śmierć, potwierdzając miłość do każdego z nas, bo „nie ma większej miłości, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich”. Świadomość, że jesteśmy kochani, pozwala nam zaakceptować siebie w całej naszej ograniczoności i sprawia, że stajemy się nie tyle lustrem, co oknem dla innych, oknem ukazującym nadzieję miłości.

8

ŚWIĘCI GRZESZNI IDĄ DO NIEBA

BOGDAN BIAŁEK

Jan Bereza OSB (17 lipca 1955 – 20 lutego 2011)
Jerzy Nowosielski (7 stycznia 1923 – 21 lutego 2011)

*Nie poznawszy siebie, nie przeraziwszy się sobą,
zaprawdę z piekiel nie wyjdiesz.*

Edward Stachura

W KRÓTKIM CZASIE ODESZLI z tego świata dwaj nadzwyczajni ludzie: katolicki mnich Jan Bereza OSB, pionier medytacji chrześcijańskiej w Polsce, oraz wielki malarz i myśliciel prawosławny Jerzy Nowosielski. Jedni z nielicznych naprawdę wolnych ludzi, jakich spotkałem w życiu.

Obydwo łączyła żarliwość wiary, szczerłość i radykalizm religijnego świadectwa, wielka odwaga i samodzielność sądów. Obydwa swoim życiem przekazali najważniejszą prawdę: że najważniejsza jest wolność, że nawet miłość musi jej ustąpić, bo bez wolności nie ma prawdziwej miłości. Ba, nawet wiara jest dopiero wtedy, gdy jest wolność. Bez wolności mamy co najwyżej religię, ale nie wiarę. Wolność jest w rzeczy samej samotnością. Czasami na dodatek ciemnością. Ale tylko człowiek wolny może i umie kierować się swoim sumieniem.

BEREZA (56). Tę scenę z filmu stacji Religia.tv będę miał długo przed oczami, ilekroć wspomnę zmarłego niedawno benedyktyna Jana Berezę. Janek fotografowany z profilu, na tle wysokiego, ciem-

nego muru, niespiesznie, ale zdecydowanie nasuwa na głowę kap-
tur swojej mniszey szaty. Z daleka przygląda mu się jego młodszy
konfrater, następca prowadzący medytacje w Lubiniu, zakonnym
domu obydwu. Młodemu mnichowi, wpatrzonemu w starszego,
płyną z oczu łzy.

Janek wyciskał łzy. Nawet gdy zaciągał się elegancko pachnącym
papierosem, popijał dobrą whisky – pięknie wyglądał, kontrastu-
jąc swoją ascetyczną twarz z jedwabną koszulą od Armaniego. Nie
umiałem oderwać od niego oczu. Bolał. A on, spoglądając od czasu
do czasu na mnie, ni to się uśmiechał, ni to chował swój smutek.
Zawsze miałem nieodparte wrażenie, że jest bardzo samotny, cho-
ciaż otaczało go tylu ludzi, a wielu uważało się za jego przyjaciół.
Ale to była zupełnie inna samotność.

Nie znałem go długo, zaledwie kilkanaście lat. Spotykaliśmy się
rzadko, częściej rozmawialiśmy przez telefon, jeszcze częściej kon-
taktowaliśmy się wirtualnie. Widziałem w nim osobę, która mnie
i wielu, wielu innym pokazuje rozliczne drogi w bezdrożnym, jak
się czasami wydawało, stepie wiary i niewiary. To on wprowadził
do polskich klasztorów i kościołów medytację rodem z buddyzmu.
Zapraszał buddyjskich mnichów. Nauczał. Nie byłem admiratorem
jego nauk. Wolałem jego milczenia. Najważniejsze przekazywał nie
słowami, ale swoją obecnością. Szczęśliwi, którzy mogli przy nim
bywać. Mądrzy, jeżeli ogarniali jego obecność.

„Dziś wiem, że niekiedy musimy przejść przez wielką burzę
i ciemność, aby zobaczyć, kim jesteśmy naprawdę. Dziś wiem, że
istnieje światło, które przez ból i cierpienie staje się coraz jaśniejsze.
Dziś wiem, że musimy czasami dotknąć bram piekła, aby dojść
do nieba. Dziś wiem, że czasami musimy doświadczyć opuszczenia
przez Boga, aby być... bliżej Niego. Dziś wiem, że Słowo staje się
ciałem wtedy, gdy odkrywamy je w drugim człowieku, tak samo
w bliskim, jak i w obcym, w przyjętym, jak i w odrzuconym. Dziś

wiem, że powinienem być nie lustrem, w którym inny dostrzega swoją ułomność, lecz oknem, przez które może dostrzec światło. Dziś wiem, że aby zmartwychwstać, trzeba umrzeć dla siebie. Dziś wiem, że czasami trzeba chodzić nieznanymi ścieżkami, aby powrócić do Boga, który jest człowiekiem. Dziś wiem, że trzeba niekiedy upaść, aby powrócić. Dziś wiem, że liczy się tylko miłość” – pisał Janek.

Ostatni raz widziałem się z nim podczas spotkania z Dalajlamą w Warszawie. Coś planowaliśmy razem wcześniej, a Janek wówczas poinformował mnie, że się wycofuje z projektu. „Dlaczego?” – spytałem. Odpowiedział, wcale na mnie nie patrząc: „Słuchaj... Ja umieram”. Minęły dwa lata i Janek odszedł po długiej chorobie i wielu cierpieniach, w 56. roku życia.

NOWOSIELSKI (88). Krakowski adwokat, u którego przyszło mi pomieszkiwać w latach 70., zaprowadził mnie do krakowskiej cerkwi, mieszczącej się w kamienicy przy ulicy Szpitalnej. Poprzednio przytuliła się w niej synagoga. Do cerkwi wchodziło się po schodach, jak do mieszkania. Po wejściu oczom ukazywał się niebiański ikonostas. Dzieło Nowosielskiego. Twarze zwyczajne, takie z ulicy. I niezwykłe jednocześnie, przemienione. Nowosielski sens swojej wiary i sens swojej sztuki widział w przemianie.

Dotarł do Kościoła prawosławnego po latach poszukiwań. Uważał prawosławie za najdoskonalszą formę chrześcijaństwa. „Prawosławie bardzo lubi pytania bez odpowiedzi. Odwrotnie Kościół rzymskokatolicki. Lubi on odpowiadać na pytania, które zasadniczo powinny zostać bez odpowiedzi”. Ale zaraz dodawał: „Wydaje mi się, że ortodoksja jest stanem pewnej asekuracji duchowej, lękiem przed naporem treści, które płyną ze świadomości ludzkiej. Ortodoksja jest takim »murkiem«, który Kościół wybudował sobie, by się bronić w tym ogrodzeniu. Natomiast moje myśli są myślami żywego człowieka, żywego chrześcijanina”. Często powtarzał myśl

katolickiego pisarza Bernanosa, że „w sprawach wiary tylko święci i grzesznicy są kompetentni, ludzie pobożni są niekompetentni”. Jakże bliski był tutaj Nowosielski księdzu Tischnerowi, który zwracał uwagę, że okrzyki „ukrzyżuj Go, ukrzyżuj” wznosili nie ateści, relatywiści jacyś, ale ludzie pobożni właśnie, ludzie religijni.

Bereza i Nowosielski nie byli ludźmi pobożnymi. Byli świętymi grzesznikami, którzy uwierzyli z głębi siebie i mocno pragnęli, takimi, nad którymi w Ewangeliach pochylał się ich Mistrz, Jezus Chrystus.



Wniebowstąpienie Pańskie

autor Michał Płoski